



Mateusz Mazzini

# Koniec tęczy

## Chile po Pinochecie



Mateusz Mazzini

# **Koniec tęczy**

## Chile po Pinochecie



**SZCZELINY**

Kraków 2023

Copyright © by Mateusz Mazzini

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2023

Opieka redakcyjna: Rafał Czech

Redakcja tekstu: Maciej Żemojtel

Weryfikacja merytoryczna: dr Anna Ratke-Majewska

Wnętrze – projekt graficzny serii: Wydawnictwo Otwarte

Adiustacja: Mirosław Dąbrowski / Wydawnictwo JAK

Korekta: Kamila Zimnicka / Wydawnictwo JAK,

Janina Burek / Wydawnictwo JAK

Łamanie: Andrzej Choczewski / Wydawnictwo JAK

Okladka – projekt graficzny serii: Łukasz Piskorek

Adaptacja okładki na potrzeby niniejszego wydania:

Monika Drobnik-Słocińska

Fotografia na okładce:

© Rafael Wollmann / Gamma-Rapho via Getty Images

ISBN 978-83-8135-264-2



**SZCZELINY**

Zajrzyj do Szczeliny!

[szczeliny.pl](http://szczeliny.pl)

[facebook.com/szczeliny](https://facebook.com/szczeliny)

[instagram.com/szczeliny](https://instagram.com/szczeliny)

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

*Być może tylko coś, co zahacza o błąd albo jest  
dotknięte błędem, ma większą szansę przetrwania  
w tak zwanej historii.*

ADAM NOWAK  
lider zespołu Raz Dwa Trzy

# Prolog

## Zawsze obecny

Krzykliwy sweter w romby, który tego dnia założył, w połączeniu z rozmierzwionymi kruczoczarnymi włosami sprawiał, że wyglądał jak zmęczony nocą rockman lub uniwersytecki pięknoduch. Na szyi wyraźnie odznaczał się wysoki kołnierz białej koszuli. Czarne spodnie wtapiały się w tło ciemnej skórzanej sofy, na którą opadł. Ręce miał złożone wzdłuż ciała, niemal przyklejone do bioder. Ci, którzy widzieli go tego dnia, zapamiętali też grube szkła okularów w rogowych oprawkach i duży, ciężki zegarek.

O godzinie 9.45 wyszedł przez główną bramę, by spojrzeć na niebo. Już wiedział, że to stamtąd nadejdzie koniec snu, który śnił od wczesnej młodości, a który przez ostatnie lata śniła z nim cała chilijska lewica. Współpracownicy nalegali, żeby założył na głowę hełm, ale dla niego ważniejsze było coś innego. Przekazać

ludziom, że on tego nie zaakceptuje. Że wierzy w demokrację, ale przede wszystkim – w sprawiedliwość, w równe społeczeństwo wolnych ludzi.

W swoim ostatnim przemówieniu jeszcze raz dał świadectwo oddania sprawie ludowej. Żegnając się z narodem, namalował słowami obraz przyszłości, która jego zdaniem nastąpi po tym „ciemnym momencie zdominowanym przez zdradę”. Powiedział, że nadejdzie taka chwila, i to stanie się szybciej niż później, w której szerokimi ulicami miast w całym kraju przejdą wolni ludzie, chcący budować lepsze, sprawiedliwsze społeczeństwo. Nie wiedział wtedy, że miał rację i jednocześnie się mylił – bo słowa te na swoje usta wezmą kiedyś miliony, choć kraj będzie czekać na to blisko pół wieku.

Kiedy to mówił, w tle słychać już było serie z karabinów. Czas się kończył, choć on dostał go zaskakująco dużo, biorąc pod uwagę, na jak bardzo straconej pozycji stał od wczesnego poranka. Serce przestało mu bić tuż przed drugą po południu.

Natychmiast po jego śmierci powstały na jej temat przeciwstawne sobie prawdy. Reżimowa „prawda ekranu” przemierzała kraj i świat, głosząc, że

**POPEŁNIŁ SAMOBÓJSTWO.**

Nie mogło być inaczej, w końcu nie był żadnym patriotą, tylko zwyczajnym tchórzem. Poza tym prowadził się niegodnie, żył z kochanką. Przedstawiciele

**Koniec tęczy. Chile po Pinochecie**

konserwatywnych elit jeszcze długo później mówili o nim, że był „człowiekiem bez żadnego kalibru moralnego”. W czasie szturm na pałac był w dodatku kompletnie pijany. Schlał się w ostatnich chwilach życia jak najgorszy wyrzutek – którym zresztą według burżuazji był – przerażony wizją konfrontacji z tymi, którzy szli ratować kraj przed upadkiem.

Armia dołożyła potem jeszcze jedną plotkę – że w czasie przeszukania jego domu wojskowi znaleźli całe stopy pornografii, i to „tej najgorszego rodzaju”. Jedni sugerowali głęboko skrywany homoseksualizm, drudzy – skłonności pedofilskie.

Strzelił sobie w głowę, gdy zrozumiał, że odcięto mu wszystkie drogi ucieczki. A uciekać chciał na pewno, co do tego nie ma żadnej wątpliwości. Wojskowi twierdzili, że miał już nawet przygotowaną drogę ewakuacji. Najbardziej popularna wersja umieszczała go oczywiście w Hawanie pod troskliwą opieką ideologicznego przyjaciela. Na burżuazyjnych salonach jako możliwe kierunki wymieniano też Buenos Aires, Caracas, Paryż, Rzym, a nawet Moskwę. Spekulacje na temat jego domniemanych uchodźczych planów prędkiej czy później schodziły jednak na drugi plan. Ważniejsza była radość, że nie żyje – on, a wraz z nim jego marksistowska rewolucja.

Prawda ulicy i antyreżimowego podziemia wszystkie te teorie odrzucała. Według jej wyznawców

ZOSTAŁ ZAMORDOWANY.

Bo przecież rewolucjonista nie popełnia samobójstwa, jak podobno powiedział kiedyś sam Lenin. Nie możliwe, żeby życie i przyszłość rządu Jedności Ludowej, a wraz z nim pierwszej na świecie rewolucji marksistowskiej przeprowadzonej drogą demokratyczną oddał tak po prostu walkowerem. Byli i tacy, którzy twierdzili, że widzieli jego egzekucję. Miała przybrać formę wręcz rytualną, jak chrzest ognia dla neofitów nowego porządku. Każdy żołnierz wchodzący do jego gabinetu miał oddać w niego strzał, a ostatni – trafić mu w samo serce. Umierał owinięty w narodową flagę, jak przystało na dumnego syna swojej ziemi.

Nic, że bardzo szybko upublicznione – w kraju i za granicą – zostały zdjęcia jego ciała, zrobione zaraz po śmierci. Choć niewyraźne, były w stanie obalić całą uliczną hagiografię. Krzykliwy sweter w romby pozostał nienaruszony, podobnie jak twarz i ręce. Ślady krwi dało się zobaczyć tylko z prawej strony czaszki i na skórzanej sofie. Patrząc na fotografie, można było mieć wątpliwości co najwyżej do ułożenia ciała: czy upadł tak naturalnie, a może ktoś go wystylizował. Bo leżał tak bezwładnie, miękko i nieforemnie, jakby w chwili strzału razem z życiem uszła z niego cała struktura kostna.

Obie prawdy przez lata zamieniły się w mity, które obu stronom konfliktu pozwalały nadać sens wydarzeniom tego dnia. Były jak interpretacyjny papierek lakmusowy – odpowiedź na pytanie, jak zginął, ujawniała

**Koniec tęczy. Chile po Pinochecie**



poglądy danej osoby na wszystkie zasadnicze kwestie. Pozwalała domniemywać, co ktoś myśli o kraju, świecie, społeczeństwie, Kościele i pieniądzu. O przeszłości i przyszłości. Stanowiła wyznacznik wiary, tej religijnej i tej świeckiej, lewicowej – często jedynych idei, które trzymały przy życiu Chilijczyków.

Paradoksalnie najmniej wątpliwości miała jego rodzina. Dwie córki, które zostały u jego boku niemal do końca, choć samego strzału nie widziały, szybko przyjęły do wiadomości, że klisze fotograficzne nie kłamią. Z relacji tych, którzy przeżyli atak na La Monedę, dowiedziały się, że gdy ojciec zniknął, szturmujący pałac żołnierze nie zdołali jeszcze wtargnąć do środka. Usłyszały, że pożegnał się ze współpracownikami, każdemu z osobna ściskając dłoń i dziękując za służbę – nie jemu, ale krajowi. Potem wszedł na drugie piętro i oddalił się w głąb budynku, gdzie nie było już nikogo. Nie poszli za nim nawet najbliżsi współpracownicy i przyjaciele. Nie było z nim tych, którzy współtworzyli jego wizję kraju i świata – ani partyjnych oficjeli, ani wspierających go intelektualistów. Nie towarzyszył mu ani noblista Pablo Neruda, widzący w nim idealnego przywódcę dla targanego strachem, głodem i bólem narodu, ani Victor Jara, bard tej wielkiej zmiany społecznej, ewangelista uniesmiertelniający marzenie o równości każdym uderzeniem w struny gitary. Obaj zresztą pożegnali się ze światem niewiele później, umierając z przekonaniem,

że kraj sterroryzowany przez dyktaturę to już nie jest ich kraj.

Dekady później jedna z córek przyznała w telewizji, że ojciec zabił się sam. Wolał umrzeć z własnej ręki, niż zostać upokorzony przez tych, którzy go nienawidzili.

Zastrzelił się w Salonie Niepodległości. Trudno o bardziej symboliczną nazwę dla miejsca, w którym śmierć poniósł człowiek na równi ceniący polityczną niepodległość kraju i realną niepodległość swojego społeczeństwa.

Obie mitologie miały jednak w sobie ziarna prawdy. Jego zgon stwierdzili obecni wtedy w pałacu dwaj medycy – osobisty kardiolog i lekarz rodzinny. Przy pierwszej autopsji, przeprowadzonej 3,5 godziny później w szpitalu wojskowym, asystował bliski przyjaciel ze studiów. Za przyczynę śmierci jednoznacznie uznano samobójstwo. Przez czaszkę przeszły dwie kule wystrzelone z broni automatycznej. Obie przebiły skórę pod brodą i eksplodowały na czubku głowy, nieco z lewej strony. Wątpliwości nie mieli ani wojskowi lekarze, ani zagraniczni eksperci od balistyki, którzy 38 lat później powtórnie analizowali ekshumowane ciało. Tezy o samobójstwie w przekonujący sposób podważyć do dzisiaj nie był w stanie nikt – mimo że wielu wciąż próbuje. Niszowe portale internetowe, ale też uznane sieci księgarń oferują całą gamę publikacji śledczych, opartych na „nigdy nieujawnionych dokumentach” lub

**Koniec tęczy. Chile po Pinochecie**

„zeznaniach świadków, których przez lata próbowano uciszyć”. Wiele z tych dokumentów zostało sfabrykowanych przez marksistowską lewicę. Głównie po to, żeby stworzyć mit, który będzie zagrzewał żyjących do walki. Zwłaszcza wtedy, kiedy pięść reżimu zaczęła zaciskać się coraz mocniej.

Okrucy prawdy nosi też w sobie historia o późniejszym spisku wojskowych. Żołnierze, którzy znaleźli go martwego, spodziewali się zbrojnego oporu. Nie wiedzieli, co ich czeka, więc na wszelki wypadek, rozpoczynając szturm, zamanifestowali całą siłę ognia – jak się później okazało, nieproporcjonalnie dużą wobec przeszło dwudziestki cywili, która od razu wyszła do nich z rękami w górze i białymi flagami. Zanim dostali się na drugie piętro, pierwszą kondygnację obrzucili granatami. Potem jeden z nich wszedł do Salonu Niepodległości, gdzie znalazł „jedną osobę martwą i jedną żywą”. Kiedy szturmujący zorientowali się, że nieboszczykiem jest właśnie on, wezwali dowódcę oddziału, a ten informację przekazał wyżej, do zwierzchników sił zbrojnych.

Już wtedy uznano, że zabił się sam. Ale, jak wykazał oficjalny raport z wojskowego śledztwa w sprawie jego śmierci, żaden ze wspomnianych dwudziestu kilku współpracowników nie został nigdy przesłuchany. Uwierzono na słowo lekarzowi, który go znalazł. Teza o samobójstwie, prawdziwa czy też nie, była dla nowego reżimu wygodna.

Jest jeszcze inna, trzecia prawda o tej historii. I to może właśnie w nią wierzy dzisiaj najwięcej osób – zwłaszcza te, które urodziły się w nowych czasach; dla których terror dawnych dni nie był doświadczeniem pokoleniowym. Jeśli nim żyją, to tylko na zasadzie postpamięci, interpretacji przeszłych zdarzeń odziedziczonej po rodzicach i dziadkach. Dla wielu spośród dzieci nowej, demokratycznej rzeczywistości właśnie ten mężczyzna w swetrze w romby i grubych okularach jest wciąż punktem odniesienia, ale nie jako człowiek, tylko ucieleśnienie pewnych idei. Spełniony chociaż na krótką chwilę sen o społecznej sprawiedliwości i równości.

Kiedy w południe 11 września 2018 roku, dokładnie 45 lat po zamachu stanu generała Augusta Pinocheta przechodziłem przez próg dawnego budynku chilijskiego Kongresu, przez chwilę sam uwierzyłem w tę trzecią prawdę. Miejsce obrad parlamentu sprzed czasów dyktatury na obchody rocznicowe wybrała Partia Socjalistyczna – jedno z wielu ugrupowań, które dziś, kompletnie niezależnie od siebie nawzajem, używają jego wizerunku jako ideologicznego punktu wyjścia, źródła legitymizacji dla swojej polityki. Na sali, mrocznej od ciemnych drewnianych mebli, oświetlonej jedynie starodawnymi lampami i wpadającymi przez wielkie wrota promieniami słonecznymi, aż roło się od postaci wielkiego formatu. Stawili się jego

**Koniec tęczy. Chile po Pinochecie**

eksministrowie, zasłużeni działacze demokratycznej opozycji. Była też córka – ta sama, która potwierdzała jego samobójstwo. W demokratycznym Chile poszła w jego ślady, weszła do Kongresu, a później jako pierwsza kobieta stanęła na czele chilijskiego Senatu. Zaraz po niej na scenę weszła wnuczka, też polityczka, kierująca wówczas Izbą Deputowanych.

Ostatnie rzędy zajęli najmłodszy – działacze partyjnych młodzieżówek. Ubrani w kurtki moro i luźne jeansy, w rękach mocno ściskali czerwone róże rozdawane przed wejściem wszystkim uczestnikom obchodów. Kiedy na wielkim ekranie pojawiły się jego koloryzowane zdjęcia, wybuchnęli płaczem. Autentycznym tak bardzo, jakby te dwie kule, które prawie pół wieku wcześniej rozerwały jego czaszkę, w tej chwili rozrywały ich własne serca.

Zaraz potem jednak otarli łzy i stanęli na baczność. Prowadzący ceremonię Carlos Montes, senator Partii Socjalistycznej, rozpoczął najważniejszy rytuał w zbiorowej pamięci chilijskiej lewicy.

Na jego słowa:

*COMPAÑERO PRESIDENTE SALVADOR ALLENDE,*

cała sala od razu odpowiedziała głośnie:

*SIEMPRE PRESENTE!*

Na tym właśnie polega trzecia wersja narracji o jego śmierci. Wersja, która mówi, że tak naprawdę nieważne, w jakich okolicznościach Salvador Allende zmarł. Ważne, że dalej żyje.

\* \* \*

Zatarcie się granicy pomiędzy tym, co było, i tym, co jest, było pierwszą lekcją, którą wtedy, w 2018 roku, odebrałem, lądując w Chile. To był rok pod wieloma względami wyjątkowy. Z historycznego punktu widzenia naznaczony podwójnie: 45. rocznica zamachu stanu Augusta Pinocheta zbiegała się z 30. rocznicą demokratycznego plebiscytu, który Pinocheta odsunął od władzy. Był to też pierwszy rok drugiej kadencji Sebastiana Piñery, nowego–starego prezydenta, w pewnym sensie pełnego sprzeczności. Z jednej strony Piñera wywodził się z elit czasów dyktatury i nigdy tego specjalnie nie ukrywał, z drugiej – nie kontestował demokratycznego porządku ani posttransformacyjnego kompromisu, na którym opierały się ostatnie trzy dekady historii kraju. Choć od zmiany ustrojowego szyldu minęło sporo czasu, a o cudzie, jaki przez ten czas realizował się na chilijskiej ziemi, napisano wszędzie, również w Polsce, opasłe hagiograficzne tomy, to nic z tych rzeczy do przeszłości jednoznacznie nie należy. Nie pozostał w niej ani sam Pinochet, wtedy od 12 lat nieżyjący, ani moralna ocena jego prawicowych, zbudowanych

**Koniec tęczy. Chile po Pinochecie**

na terrorze i represji rządów. Chilijska demokracja, zrodzona z ideologicznego konsensusu rozmaitych partii, które w gruncie rzeczy poza prodemokratycznym kursem niewiele łączyło, pozostawała wprawdzie stabilna, a kraj rzeczywiście piął się w rozmaitych rankingach rozwoju, dobrobytu i wzrostu gospodarczego. W rozrachunku życia codziennego niewiele to jednak znaczyło. Podział – na konserwatywną, bogatą, czasem nawet flirtującą z faszyzmem białą elitę, i masy z klasy ludowej, wierzące w to, że w Chile demokrację da się pożenić z każdym prądem lewicowym – przez trzy demokratyczne dekady nie zniknął. W pewien sposób zawsze istniał w chilijskim społeczeństwie, a Pinochet jedynie inteligentnie nim zagrał, wynosząc do poziomu egzystencjalnego zagrożenia dla przyszłości narodu. Teraz podział ten wydawał się jeszcze mocniejszy. Głównie dlatego, że na jego straży stał już nie tylko żołnierski karabin, ale przede wszystkim pieniądź – znacznie skuteczniejszy gwarant społecznego porządku.

W rozmowach o chilijskiej transformacji ustrojowej, nawet tych prowadzonych przez akademickich ekspertów, często pojawiają się klisze – o niedomkniętych drzwiach, nierozliczonej przeszłości, trumnach starych przywódców rządzących nową demokracją. Te klisze są dla Chilijczyków krzywdzące, gdyż redukują ich świat społeczny do roli jednego z wielu zimnowojennych pól bitewnych. Terytorium, na którym dobro walczyło ze złem, chociaż ocena, co było dobrem, a co złem,

zależała akurat od miejsca, z którego na konflikt się patrzyło – a w niektórych przypadkach patrzy nawet do dzisiaj. Popularna opowieść o najnowszej historii Chile to najczęściej garść skrótów myślowych. Komunistą Salvador Allende, będący na usługach Sowietów, chciał ze swojej ojczyzny zrobić drugą Kubę, na co nie pozwolił mu Augusto Pinochet, brutalny dyktator utoczony na amerykańskich pieniądzach. Z jednej strony patronat Fidela i Breżniewa, z drugiej uścisk dłoni Kissingera i błogosławieństwo Jana Pawła II. Przekleństwem Chile jest fakt, że wszystkie te etykiety są w jakimś stopniu prawdziwe. Oddają jednak co najwyżej wycinek rzeczywistości tego długiego i wąskiego kawałka ziemi, przyklejonego jak gąsienica do reszty latioamerykańskiego lądu.

Chile, nie tylko na tle pozostałych krajów Ameryki Łacińskiej, zawsze było inne – z dobrymi i złymi tego konsekwencjami. Dla jednych w Chile świat miał swój początek, tak jak na słynnym szkicu urugwajskiego artysty Joaquína Torresa-Garcíi, przedstawiającym latioamerykański kontynent odwrócony o 180° w stosunku do swojego tradycyjnego wizerunku kartograficznego. Inni widzieli w nim raczej przedmurze piekła, ziemię przeklętą. Luis Sepúlveda, jeden z wielu wybitnych pisarzy, których Chile dało światowej literaturze, a prywatnie przyjaciel, powiernik i ochroniarz Salvadora Allende, o swojej ojczyźnie pisał, że jest „krajem najbliższym końca świata”.

**Koniec tęczy. Chile po Pinochecie**



Z kolei Rebecca Solnit, amerykańska aktywistka i eseistka, jedna z twarzy współczesnej progresywnej rewolucji światopoglądowej w Stanach Zjednoczonych, umieszczała Chile w samym środku dziejowych wydarzeń. „Może to tu jest centrum świata” – pisała, gdy w 2004 roku 50 tysięcy demonstrantów wyszło na ulice Santiago, protestując przeciwko wizycie George’a W. Busha i jego planom utworzenia strefy wolnego handlu na Pacyfiku. W fakcie, że działo się to właśnie w Chile – kraju, który przeszedł od brutalnej dyktatury wojskowej do pełnoprawnej demokracji, a prześladowani niegdyś socjaliści potrafią się dziś w pokojowy sposób zmieniać u władzy z postpinochetowską neoliberalną prawicą – Solnit widziała nadzieję w mroku, przesłankę nadchodzącego lepszego jutra. Benedict Anderson, bodaj najwybitniejszy znawca nacjonalizmów, widział w Chile wyspę tak bardzo odseparowaną od reszty świata, że wszystkie zjawiska społeczne, które na niej istnieją, trzeba było importować z innych krajów – na czele z nacjonalizmem. Dlatego w chilijskiej ideologii narodowej pobrzmiewają zwrotki napisane przez Basków, Anglików, Irlandczyków i Niemców.

Wiele chilijskich procesów toczyło się także w innych krajach, tutaj jednak wszystko wyglądało ostrzej, mocniej, niestety też – bardziej krwawo. Ustanowiona przez Pinocheta dyktatura stała się globalnym symbolem prawicowej przemocy, niemal idealnie zorganizowanego państwowego aparatu terroru. Nawet jeśli nie

wszyscy widzieli w niej uniwersalny symbol zła, bo dla niektórych była synonimem walki z komunizmem, mało kto kwestionował jej skrajnie represyjny charakter. Sam Pinochet to dziś wręcz archetyp dyktatora, często bezrefleksyjnie przywoływany przez współczesnych polityków w wygłaszanych publicznie naciąganych metaforach. Pod rękę z dyktaturą karabinu szła też zawsze dyktatura pieniądza, i również to w Chile przybrało formę wyraźniejszą niż gdziekolwiek indziej. Doktrynę ekonomiczną, która została tam wprowadzona pod koniec lat siedemdziesiątych i z niewielkimi tylko modyfikacjami obowiązuje do dziś, bez cienia przesady można by nazwać spełnionym snem Milтона Friedmana. W Chile po raz pierwszy w historii neoliberalizm przejął kontrolę nad całością stosunków społecznych, do tego stopnia, że dzisiaj o kraju tym mówi się właśnie jako o kolebce wolnorynkowego radykalizmu. Niewykluczone zresztą, że kolebka okaże się grobem – pod hasłem pochowania ideologii neoliberalnej mobilizowała się chilijska nowa lewica, napędzana gigantycznymi nierównościami i gniewem społecznym, wyrażonym dwoma miesiącami masowych protestów w październiku i listopadzie 2019 roku.

O wyjątkowości Chile pisało i mówiło wielu, listę chilijskich fenomenów można ciągnąć w nieskończoność. Zauważać unikatowe bogactwo krajobrazów i klimatów – od pustyń, przez wiecznie zaśnieżone szczyty Kordyliery, po pustkowia południa ciągnące się wzdłuż

**Koniec tęczy. Chile po Pinochecie**

Autostrady Panamerykańskiej, aż do lodowatej Cieśniny Magellana. Rozwodzić się nad życiem kulturalnym, bo ten zaledwie kilkunastomilionowy, w sporej części niezamieszkały kraj, leżący na „marginesie wszystkiego”, wydał dwóch literackich noblistów – Pabla Nerudę i Gabrielę Mistral, a do tego Sepúlvedę, Isabel Allende, Roberta Bolaño, a z innych sztuk – chociażby laureata Oscara Pabla Larraína. Analizować architektonicznie i socjologicznie Costanera Center, gigantyczny biurowiec z galerią handlową górujący nad Santiago, najwyższy w całej Ameryce Łacińskiej. Łatwo uważać, że Chile jest jedyne w swoim rodzaju.

Przeszłość i teraźniejszość mieszały się tu ze sobą cały czas, również przez ostatnie trzy dekady. O starych rewolucjach nikt nie zapomniał, ale nie oznaczało to, że na nowe nie ma miejsca. Parafrazując ostatnie słowa Allende, lud nigdy nie przestał wierzyć w wizję sprawiedliwego społeczeństwa wolnych obywateli. Masowe protesty towarzyszyły tutejszej władzy rok w rok, kilkakrotnie doprowadzając prawie do jej obalenia. Nigdy jednak nie były tak potężne, nie miały takiej sprawczości jak te z 2019 roku. To był ostatni wielki zryw społeczny – również w skali świata – przed pandemią koronawirusa, która świat ten nagle zatrzymała, zamknęła w czterech ścianach. Wtedy Chile znów trafiło na czołówki zagranicznych gazet, choć ponownie relacje z tego kraju przedstawiały wydarzenia w wersji spłaszczonej. Slogan tamtych protestów: „To nie 30 pesos, to

30 lat”, nieco na wyrost interpretowany, stanowił próbę ostatecznego rozliczenia się chilijskiego społeczeństwa z przeszłością. W rzeczywistości owa rewolucja miała wielu ojców i wiele matek, a jeszcze więcej postulatów – spośród których większość nie dotyczyła wcale tematów takich jak powsadzanie za kratki mundurowych oprawców z czasów Pinocheta czy pozbawienie przywilejów finansowych ich rodzin.

Protestujący, liczeni w milionach, mieli żądania znacznie bardziej kompleksowe, ale przede wszystkim – aktualne. Teraźniejsze. Co więcej, wysuwali je pod adresem całej klasy politycznej, jak scena długa i szeroka. Opozycyjne zasługi czy dyktatorskie winy nie miały tutaj żadnego znaczenia. Chilijska ulica domagała się nowego świata, w całości zaprojektowanego przez siebie. Tamte protesty wyrażały chęć zerwania nie tylko z porządkiem posttransformacyjnym, ale ze wszystkim, co dotychczas kształtowało chilijską rzeczywistość polityczną. Dla uczestników tej fali mobilizacji przyszedł czas na zaprojektowanie kraju od nowa. Obok postulatów ekonomicznych, nawoływań do redystrybucji dóbr pojawiły się więc hasła ekologiczne, wezwania do poszanowania praw mniejszości seksualnych i etnicznych. Apele o zasypywanie – zamiast ciągłego powiększania – nierówności społecznych. Wy-myślmy Chile w Chile, zamiast wiecznie kopiować obce idee, krzyczał tłum. Zróbmy to po swojemu. Wprowadźmy równą, realną demokrację, za udział w której nie trzeba płacić, dosłownie i w przenośni.

**Koniec tęczy. Chile po Pinochecie**

Nowe Chile rodzi się teraz, nie wiadomo do końca, jaki przyjmie kształt. Niemal wszyscy najwybitniejsi znawcy kontynentu latynoamerykańskiego, w tym Ryszard Kapuściński i Artur Domosławski, na różne sposoby formułowali popularną tezę o Ameryce Łacińskiej jako „laboratorium świata przyszłości”. Jeśli rzeczywiście mają rację, to Chile jest w tym laboratorium zdecydowanie najciekawszym stanowiskiem doświadczalnym.

Wbrew pozorom jednak przyszłość nie jest jedynym obszarem osi czasu, który swobodnie poddaje się ludzkiemu kształtowaniu. To samo można powiedzieć o tym, co już za nami, bo przeszłość nie istnieje. Przeszłość jest tym, co sami z niej uczynimy. Jest innym krajem albo wręcz krajem nam obcym. Inną przeszłość mamy w sobie jako jednostki, inną nosimy jako członkowie społeczności, w których żyjemy. Przeszłości te nierzadko pozostają ze sobą w konflikcie, czasem jednak mówią wspólnym głosem. Pamiętamy razem i osobno, a pomagają nam w tym rytuały, przedmioty, symbole. Dlatego lepiej niż o pamięci jako o zjawisku statystycznym mówić o pamiętaniu – procesie dynamicznym. I pisząc o konkretnych jego przykładach, nieustannie zadawać pytanie znane z tytułu książki brytyjskiego socjologa Paula Connertona: jak pamiętają społeczeństwa?

Jak pamięta Chile?